

HERBERT

GEORGE WELLS

WEHIKUŁ CZASU

Herbert Wells

Wehikuł czasu

«Public Domain»

Wells H. G.

Wehikuł czasu / H. G. Wells — «Public Domain»,

Czy natura mogłaby stworzyć coś doskonalszego niż brytyjski gentleman końca XIX wieku? Czy też po nim może nadejść już tylko degeneracja homo sapiens? Wehikuł czasu pozostawia nas — zafascynowanych malowniczą wizją roku 802 701 — bez jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Podróżnik w Czasie trafia do niezwykłego, kwitnącego świata odległej przyszłości. Szybko jednak orientuje się, że ta sielanka to tylko pozór: ludzka kultura wypaliła się i zamiera... na gruzach dawnej cywilizacji żyją nędzni i słabi potomkowie naszego gatunku. Przyczyn upadku ludzkości nie upatruje jednak autor, w przeciwieństwie do wielu późniejszych powieściopisarzy czy scenarzystów, w postępie technicznym, w jakimś potężnym wynalazku, który wymknął się spod kontroli twórców. Bohater powieści sam jest wynalazcą, zapalonym eksploratorem. Źródeł degeneracji i nieszczęść przyszłego człowieka doszukuje się w porządku społecznym: w niesprawiedliwości współczesnej sobie kultury, faworyzującej arystokrację kosztem krzywdy ludzi pracujących.

Содержание

Rozdział I	5
Rozdział II	10
Rozdział III	14
Rozdział IV	17
Конец ознакомительного фрагмента.	18

Herbert George Wells

Wehikuł czasu

Rozdział I

Podróżnik w Czasie (tak bowiem wypada go nazwać) wyjaśniał nam oto pewien niezwykle problem. Jego szare lśniąco oczy błyszczały, a twarz, blada zazwyczaj, ożywiła się jasnym rumieńcem. Ogień na kominku palił się jasno, a łagodne światło srebrnych lamp w kształcie lilii odbijało się w perelkach napoju musującego w szklankach. Fotele wykonane według projektu gospodarza, miały stanowić po prostu wygodne siedzenie, obejmowały nas i tuliły. Panowała tu atmosfera poobiedniego błogostanu, kiedy to myśli biegną z pewnym wdziękiem, wolne od więzów ścisłości. Tak też biegły i jego myśli w ciągu wykładu, którego kolejne punkty podkreślał niejako cienkim wskazującym palcem, podczas gdyśmy siedzieli i niedbale podziwiali jego gorące przejęcie się tym, jakieśmy sądzili, nowym paradoksem i niezwykle bogactwo jego umysłu.

– Zważcie dobrze – mówił. – Zmuszony bowiem będę przeciwstawić się pewnym powszechnie uznanym pojęciom. Geometria, na przykład, której uczyliście się w szkołach, jest oparta na błędnym założeniu.

– Czy nie jest to zagadnienie zbyt poważne, abyśmy się tutaj nim zajmowali? – zapytał rudowłosy Filby, człowiek wygadany co się zowie.

– Ani myślę żądać od was, byście przyjmowali cokolwiek bez dowodów. Wkrótce zgodzicie się ze mną, przynajmniej o tyle, o ile jest mi to potrzebne. Wiecie z pewnością, że linia matematyczna, linia o wymiarach zero, nie istnieje w rzeczywistości. Uczyliście się przecież tego? Nie istnieje płaszczyzna matematyczna. Są to pojęcia abstrakcyjne.

– Wszystko to prawda – rzekł Psycholog.

– Nie istnieje także realnie sześcian o wymiarach długości, szerokości i grubości, czyli wysokości.

– Z tym się już nie zgodzę – powiedział Filby. – Wszak bryła może istnieć? Wszystkie ciała materialne...

– Takie jest powszechne mniemanie. Ale poczekaj chwilę. Czy może istnieć sześcian **momentalny**?

– Nie rozumiem – rzekł Filby.

– Czy może istnieć sześcian, który nie trwałby ani jednej chwili?

Filby zamyślił się.

– Oczywiście – ciągnął dalej Podróżnik w Czasie – każde materialne ciało rozciągać się musi w czterech kierunkach i posiadać długość, szerokość, grubość i trwanie. Jednakże przyrodzona nieudolność naszego ciała, którą wam zaraz wyjaśnię, skłania nas do przeoczenia tego faktu. W rzeczywistości istnieją cztery wymiary: trzy, które nazywamy trzema płaszczyznami przestrzeni, i czwarty – czas. Istnieje jednak tendencja do stawiania nieuzasadnionej granicy pomiędzy trzema poprzednimi wymiarami a ostatnim, ponieważ tak się dzieje, że nasza świadomość biegnie z przerwami w jednym kierunku, po linii tego właśnie ostatniego wymiaru, od początku do końca naszego życia.

– Jest to... – odezwał się pewien Bardzo Młody Człowiek, usiłując rozpaczliwie zapalić nad lampą cygaro – jest to... najzupełniej jasne.

– Otóż jest to szczególnie zadziwiające, że się tak powszechnie lekceważy ten fakt – ciągnął dalej Podróżnik z odcieniem lekkiej wesołości. – Oto, według mnie, istota czwartego wymiaru, natomiast wielu ludzi prawi o czwartym wymiarze nie wiedząc, co to znaczy. A tymczasem jest to tylko odmienny sposób patrzenia na czas. Nie ma bowiem żadnej różnicy pomiędzy czasem

a którymkolwiek z trzech wymiarów przestrzeni oprócz tej, że nasza świadomość dąży po linii tego właśnie czwartego wymiaru. Sporo jednak głupców błędnie sobie to pojęcie tłumaczy. Słyszeliście wszyscy, co oni wygadują o czwartym wymiarze...

– Ja nie słyszałem – rzekł Burmistrz z prowincji.

– Rzecz się ma po prostu tak. Przestrzeń, jak utrzymują nasi matematycy, ma jakoby trzy wymiary, które można by nazwać długością, szerokością i grubością, i daje się zawsze określić stosunkiem do trzech płaszczyzn, z których każda leży pod kątem prostym do pozostałych. Lecz pewni zajmujący się filozofią ludzie zapytali: dlaczego tylko trzy wymiary, dlaczego nie jeden jeszcze kierunek pod kątem prostym do trzech pozostałych? – i starali się nawet stworzyć geometrię czterowymiarową. Przed miesiącem profesor Szymon Newcomb miał o tym wykład w Nowojorskim Towarzystwie Matematycznym. Wiecie, jak na płaskiej powierzchni, która ma tylko dwa wymiary, przedstawiamy rysunek bryły trójwymiarowej. Otóż niektórzy sądzą, że za pomocą modeli trójwymiarowych będą mogli analogicznie przedstawić ciała czterowymiarowe – jeżeli tylko oświadcą perspektywę przedmiotu. Czy pojmujecie?

– Tak sędzę – mruknął Burmistrz z prowincji i zmarszczywszy brwi pogrążył się w zamyśleniu poruszając wargami, jak gdyby wymawiał tajemnicze słowa. – Tak, zdaje mi się, że teraz już rozumiem – powiedział po jakimś czasie z twarzą najwyraźniej wypogodzoną.

– No, dobrze! Nie przypominam sobie, czy mówiłem już wam, że przez pewien czas zajmowałem się geometrią czterowymiarową. Niektóre z moich wyników są zadziwiające. Weźmy na przykład portret tego samego człowieka w ósmym roku życia, w piętnastym, w siedemnastym, w trzydziestym trzecim i tak dalej. Wszystko to są jakby przekroje, jakby trójwymiarowe wyobrażenia istoty czterowymiarowej, która jest tworem stałym i niezmiennym. Uczni – mówił dalej Podróżnik po namyśle potrzebnym dla lepszego sprecyzowania przedmiotu – wiedzą dobrze, że czas jest tylko rodzajem przestrzeni. Oto znany powszechnie wykres – zapis pogody. Krzywa, którą pokazuję, ma wskazywać wahania barometru. Wczoraj rtęć stała wysoko, w ciągu nocy opadła, dziś z rana podniosła się znowu i podnosi się nadal aż do obecnej chwili. Z pewnością, rtęć nie kreśli tej krzywej w żadnym z wymiarów przestrzeni znanych powszechnie, natomiast kreśli niewątpliwie taką krzywą, która, jak możemy wnioskować, przebiega wzdłuż wymiaru czasu.

– Jeśli jednak – odezwał się Lekarz patrząc uporczywie na płonące węgle – czas jest rzeczywiście czwartym wymiarem przestrzeni, to dlaczego jest i był uważany za coś zupełnie odrębnego? I dlaczego nie możemy się poruszać w czasie tak, jak się poruszamy w każdym innym wymiarze przestrzeni?

Podróżnik w Czasie uśmiechnął się.

– Czy jest pan tak bardzo pewien, że możemy swobodnie poruszać się w przestrzeni? Możemy poruszać się do woli na prawo i lewo, w tył i w przód, i tak ludzie poruszali się zawsze. Przypuszczam, że mamy swobodę ruchów w dwóch wymiarach. Ale jak poruszać się w górę i w dół? Tu krępuje nas ciążenie.

– Niezupełnie – rzekł Lekarz. – Mamy przecież balony.

– Ale przed wynalezieniem balonów, jeżeli pominiemy wymagające wysiłku podskoki oraz nierówności gruntu, człowiek nie mógł swobodnie poruszać się w kierunku pionowym.

– Zawsze jednak mógł poruszać się cokolwiek w górę i w dół – rzekł Lekarz.

– Łatwiej, daleko łatwiej w dół niż w górę.

– Ale nie jest pan w stanie poruszać się w czasie, wyjść z chwili obecnej...

– I tu właśnie pan się myli, kochany panie. Cały świat ma mylne wyobrażenie pod tym względem. Ustawicznie uciekamy od chwili bieżącej. Nasz byt umysłowy, który jest niematerialny i nie ma wymiarów, porusza się w wymiarze czasu z jednostajną szybkością od kolebki do grobu, zupełnie tak jakbyśmy nieustannie schodzili w dół, rozpoczynając nasze istnienie na wysokości pięćdziesięciu mil nad ziemią.

– Największa jednak trudność w tym – przerwał Psycholog – że mogąc się poruszać w każdym kierunku przestrzeni, nie jest pan w stanie poruszać się w czasie.

– To jest właśnie sedno mego wielkiego odkrycia. Nie ma pan jednak racji mówiąc, że nie możemy poruszać się w czasie. Jeżeli na przykład żywo przypominam sobie jakiś wypadek, to wracam myślą do chwili, w której się wydarzył: staję się wówczas nieobecny, robię na chwilę skok wstecz. Nie możemy, zapewne, zatrzymywać się w czasie na dłużej, podobnie jak człowiek dziki lub zwierzę nie może się utrzymać na wysokości sześciu stóp nad ziemią. Ale człowiek cywilizowany stoi pod tym względem wyżej od dzikiego. Wbrew sile ciężenia może wznieść się w górę balonem; dlaczegóż więc nie miałby mieć nadziei, że zdoła wreszcie zatrzymywać lub przyspieszać swój bieg w czasie, lub nawet zawracać i puszczając się w inną drogę?

– O, co do tego... – zaczął Filby – to jest już...

– Dlaczego nie? – przerwał mu Podróżnik w Czasie.

– Sprzeciwia się to rozumowi – rzekł Filby...

– Jakiemu rozumowi? – zagadnął Podróżnik.

– Argumentami możesz pan dowieść nawet, że czarne jest białym i odwrotnie – rzekł Filby – lecz przekonać mnie pan nie zdołasz.

– Być może – rzekł Podróżnik. – Zaczynacie już jednak spostrzegać teraz cel moich dociekań w geometrii czterowymiarowej? Od dawna już świtał mi pomysł maszyny...

– Do podróżowania w czasie?! – wykrzyknął Bardzo Młody Człowiek.

– Tak, do odbywania podróży w każdym kierunku czasu i przestrzeni, w jakim tylko jadący udać się zechce...

Filby zaczął się śmiać.

– Robiłem już eksperymenty – rzekł Podróżnik.

– O, jakżeby się taka maszyna przydała historykowi! – zauważył Psycholog. – Niejeden mógłby cofnąć się daleko w przeszłość i sprawdzić powszechnie przyjętą historię bitwy pod Hastings!

– Czy nie sądzisz, że zwróciłbyś na siebie uwagę? – rzekł Lekarz. – Nasi przodkowie niezbyt chętnie tolerowali anachronizmy.

– Można by się uczyć greki z ust samego Homera lub Platona – zauważył Bardzo Młody Człowiek.

– I bez wątpienia zatrzymano by cię przy pierwszym egzaminie, bo przecież uczeni niemieccy tak udoskonalili już grekę!

– W każdym razie na tej drodze jest przyszłość – powiedział Bardzo Młody Człowiek. – Dobra myśl! Można by oddać kapitały na procent i puścić się na złamanie karku!

– Na poszukiwanie społeczeństwa – zauważyłem – zbudowanego na zasadach komunistycznych.

– Co za szalone dziwactwa! – zaczął Psycholog.

– I mnie się tak zdawało. Toteż postanowiłem nikomu nic nie mówić, zanim...

– Nie sprawdzę za pomocą doświadczenia... – podchwyciłem. – Więc istotnie zamierzasz próbować tego?

– Eksperyment! – krzyknął Filby, któremu zaczęło się już mącić w głowie.

– W każdym razie obejrzyjmy ten eksperyment – powiedział Psycholog – chociaż to i tak wszystko są bzdury.

Podróżnik w Czasie uśmiechnął się do nas. Z uśmiechem też włożył ręce do kieszeni spodni i wyszedł z wolna z pokoju. Słyszeliśmy, jak człapią jego pantofle w długim korytarzu, który prowadził do laboratorium. Psycholog spojrzał na obecnych.

– Ciekaw jestem, co też zmajstrował?

– Jakąś kuglarską sztuczkę lub coś podobnego – rzekł Lekarz, a Filby zaczął opowieść o magiku, którego widział w Burslem, lecz nim skończył wstęp do opowieści, Podróżnik w Czasie wrócił i nic nie wyszło z anegdoty Filby'ego. Podróżnik w Czasie trzymał w ręku połyskujący

przedmiot. Był to mechanizm metalowy niewiele większy od małego zegarka, a wykonany bardzo misternie, z kości słoniowej i jakiejś przezroczystej krystalicznej substancji. Zmuszony teraz będę opowiadać jasno i zwięźle o tym, co nastąpiło, zanim Podróżnik nie udzieli swych wyjaśnień, gdyż wszystko to było doprawdy niewiarygodne.

Podróżnik wziął jeden ze znajdujących się w pokoju ośmiokątnych stolików i umieścił go blisko ognia, oparłszy obie jego nogi na dywanie przed kominkiem. Na stoliku postawił mechanizm, przysunął krzesło i usiadł.

Na stole, oprócz maszyny; stała tylko niewielka lampa z abażurem; jasne jej światło oświecało przyrząd. W pokoju paliło się jeszcze nadto około dwunastu świec, z tych dwie w brązowych lichtarzach na kominku, inne zaś w srebrnych kandelabrach, tak iż oświetlenie było rześiste.

Siedziałem w niskim fotelu, jak najbliżej ognia, i wysunąłem się teraz naprzód, aby znaleźć się pomiędzy kominkiem, a Podróżnikiem w Czasie. Za nim siedział Filby patrząc mu przez ramię. Lekarz i Burmistrz z prowincji zajęli miejsca z prawej strony, Psycholog z lewej. Bardzo Młody Człowiek stał za Psychologiem. Wszyscy uważaliśmy bacznie. Wydawało się, że w tych warunkach niemożliwa jest jakakolwiek sztuczka, choćby najsubtelniej obmyślona i wykonana najzręczniejsze.

Podróżnik w Czasie popatrzył kolejno na nas i na mechanizm.

– No i cóż? – spytał Psycholog.

– Ten mały przyrząd – rzekł Podróżnik w Czasie opierając łokcie na stoliku i ujmując aparat w ręce – jest tylko modelem, pomysłem maszyny do podróżowania w czasie. Widzicie, że wygląda dość dziwnie. Ten drążek – wskazał palcem daną część – ma dziwnie migoczącą powierzchnię jak coś, co nie ma bytu realnego. Tu znowu jest biała niewielka dźwignia, tam druga...

Lekarz podniósł się z krzesła i spojrzał na przedmiot.

– Jak to ślicznie wykonane! – zawołał.

– Zabrało mi to dwa lata pracy – odparł Podróżnik w Czasie, a gdy wszyscy poszliśmy za przykładem Lekarza, mówił dalej: – Teraz chciałbym, abyście pojęli jasno, że gdy naciśniemy tę dźwignię, machina zostaje wprawiona w ruch postępujący w przyszłość. Druga dźwignia nadaje ruch w kierunku odwrotnym. Siodełko stanowi siedzenie podróżnika w czasie. Teraz nacisnę sprężynę i maszyna pójdzie naprzód; zniknie, przeniesie się w przyszłość i stanie się niewidzialna. Patrzcie uważnie na przyrząd. Patrzcie również na stolik; zapewniam was, że tu nie ma żadnych sztuczek. Nie mam ochoty pozbywać się tego modelu, a potem uchodzić za szarlatana.

Przez chwilę panowało milczenie. Zdawało się, że Psycholog chciał coś mi powiedzieć, lecz zmienił zamiar. Podróżnik w Czasie wyciągnął palec w kierunku dźwigni.

– Nie – rzekł. – Daj rękę – i zwracając się do Psychologa wziął jego rękę w swoją i kazał mu wystawić wskazujący palec. I tak oto Psycholog sam puścił maszynę w nieskończoną podróż. Ujrzelśmy wszyscy obrót dźwigni. Uczuliśmy powiew wiatru, a płomień lampy buchnął w górę. Na kominku zgasła świeca, a niewielka machina zaczęła nagle wirować, stała się niewyraźna, jak zjawą, jak wir połyskującego z lekka brązu i kości słoniowej, aż wreszcie przepadła – znikła! Na stole nie było nic prócz lampy.

Wszyscy oniemieli na chwilę. Filby pierwszy uznał się za zwyciężonego.

Psycholog ochłonawszy ze zdumienia spojrzał nagle pod stół. Wówczas Podróżnik w Czasie roześmiał się wesoło.

– No i cóż? – zapytał powtarzając słowa Psychologa. Następnie podniósł się, podeszedł do pudełka z tytoniem na kominku i, odwrócony tyłem, zaczął nabijać fajkę.

Patrzyliśmy w osłupieniu jedni na drugich.

– Słuchaj – rzekł Lekarz – czy mówisz serio? Czy naprawdę sądzisz, że maszyna rozpoczęła już podróż w czasie?

– Z pewnością – odpowiedział Podróżnik, nachylając się dla zapalenia fajki. Następnie odwrócił się i spojrzał w twarz Psychologowi.

(Psycholog dla okazania, że się nie czuje wcale wytrącony z równowagi, szukał ratunku w cygarze i miał już je zapalić, ale zapomniał je przedtem obciąć).

– Co więcej, mam dużą maszynę na ukonczeniu tam – wskazał w stronę laboratorium. – Gdy ją złożę w całość, sądzę, że będę mógł już odbyć podróż sam we własnej osobie.

– Sądzisz pan, że maszyna powędrowała w przyszłość? – spytał Filby.

– W przyszłość lub przeszłość – nie wiem na pewno, w jakim kierunku.

Po chwili Psycholog wpadł na nowy pomysł.

– Musiała powędrować w przeszłość, jeżeli w ogóle dokądkolwiek poszła – rzekł.

– Dlaczego? – zagadnął Podróżnik w Czasie.

– Gdyż, przypuszczam, nie poruszyła się w przestrzeni, bo jeśli powędrowała w przyszłość, to byłaby jeszcze tutaj, gdyż musiałaby przejść chwilę obecną.

– Jednak – rzekłem – gdyby pomknęła w przeszłość, musiałaby być widoczna wtedy, gdy po raz pierwszy weszliśmy do tego pokoju, i w ostatni czwartek, gdyśmy tu byli, i jeszcze wcześniej!

– Poważne zarzuty – zauważył obiektywnie Burmistrz z prowincji, zwracając się do Podróżnika w Czasie.

– Ależ nie – odparł Podróżnik, a następnie, zwróciwszy się do Psychologa, dodał: – Niech pan się zastanowi. Pan bowiem może to objaśnić, gdyż jest to zjawisko leżące poniżej progu spostrzegania. Zjawisko nie najzupełniej jasne, nieprawdaz?

– Jest to istotnie – objaśnił Psycholog – kwestia prosta w psychologii. Powinienem być o tym pomyśleć. To wystarcza i znakomicie podtrzymuje paradoks. Nie możemy widzieć, nie możemy dostrzec maszyny, zarówno jak nie możemy zauważyć szprychy kręcącego się koła lub pocisku przebiegającego powietrze. Jeżeli maszyna ta przebiega czas pięćdziesiąt lub sto razy szybciej niż my, jeżeli w „naszą” sekundę przebywa minutę, to wrażenie, jakie może wywołać, będzie z pewnością jedną pięćdziesiątą lub jedną setną tego, jakie by wywołała, gdyby nie przebiegała czasu. Czy to jasne?

Przesunął ręką w miejscu, gdzie przedtem stała maszyna.

– Czy pojmujecie? – zapytał uśmiechając się.

Siedzieliśmy może minutę, patrząc na pusty stół, po czym Podróżnik zapytał nas, co o tym wszystkim myślimy.

– Łatwo uwierzyć w to wieczorem – powiedział Lekarz – ale poczekajmy do rana. Poczekajmy na trzeźwy osąd poranka.

– A czy nie zechcielibyście obejrzeć maszyny czasu? – zapytał Podróżnik. Następnie, wzięwszy do rąk lampę, poprowadził nas długim ciemnym korytarzem do swego laboratorium. Żywo przypominam sobie drżące światło, zarys jego niezwyklej, dużej głowy, tańczące na ścianach cienie. Pamiętam, jak szliśmy za nim, zakłopotani, pełni nieufności, i jak w laboratorium ujrzeliśmy w powiększeniu ten sam mechanizm wehikułu czasu, który rozwiął się nam był w oczach. Jedne części wykonane zostały z niklu, inne z kości słoniowej, inne znowu niezawodnie wyciosane z górskiego kryształu. Maszyna była już prawie gotowa, tylko kryształowe pałeczki leżały jeszcze nie wykończone na ławce obok kilku rysunków; wziąłem jedną z nich do rąk, aby się lepiej przyjrzeć. Zdawało mi się, że był to kwarc.

– Słuchaj – rzekł Lekarz – czy to wszystko jest na serio? Czy też jest to jedynie sztuczka, podobna do tej z duchem, którą nam pokazałeś w czasie świąt Bożego Narodzenia?

– Na tym wehikule – rzekł Podróżnik podnosząc do góry lampę – zamierzam przebyć czas. Rozumiecie? Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie.

Nikt z nas nie wiedział, co o tym myśleć. Poprzez ramię Lekarza pochwyciłem spojrzenie Filby'ego, który mrugnął do mnie znacząco.

Rozdział II

Sądę, że nikt z nas wówczas nie wierzył w zupełności w maszynę Podróżnika. Zbyt przekornym był on bowiem człowiekiem, by mu można było wierzyć. Nigdy się go nie było pewnym, a pod pozorami szczerej otwartości czuło się zawsze niewielki dystans i pewną ukrytą skłonność do kpin.

Gdyby na przykład Filby pokazał nam model i objaśnił rzecz słowami Podróżnika, okazalibyśmy mniej sceptycyzmu; z łatwością bowiem zdołalibyśmy przeniknąć jego pobudki. Nawet prosty rzeźnik byłby w stanie zrozumieć Filby'ego. Natomiast w naturze Podróżnika dostrzegaliśmy coś więcej niż objawy dziwactwa i dlatego nie dowierzaliśmy mu. Rzeczy, które zapewniłyby sławę mniej zdolnemu człowiekowi, w jego ręku wydawały się sztuczkami. Zbyt łatwe osiągnięcia nie wzbudzają bowiem ufności. Ludzie poważni, którzy i jego też brali poważnie, nigdy nie byli zupełnie pewni jego postępowania, zdając sobie do pewnego stopnia sprawę, że obdarzanie go swym zaufaniem byłoby niczym innym jak przyozdabianiem pokoju dziecinnego misterną porcelaną chińską.

Nie sądę przeto, żeby którykolwiek z nas przez ten tydzień od ostatniego czwartku bardzo się w rozmowach zajmował podróżą po Krainie Czasu, jakkolwiek wielu z nas bez wątpienia nurtowała myśl o niezwykłych jej właściwościach, o pozornej realności tego pomysłu i trudności urzeczywistnienia go w praktyce, o ciekawej możliwości anachronizmu i o szczególnym zamieszaniu, jakie by ów wynalazek wywołał.

Co się tyczy mej osoby, ciekawiła mnie przede wszystkim sztuczka z modelem. Pamiętam, że rozprawiałem o tym z Lekarzem, którego w piątek spotkałem w Muzeum Linneusza. Powiedział mi, że w Tybindze widział już coś takiego, i przywiązywał dużą wagę do faktu zgaszania świecy. Nie umiał jednakże objaśnić, w jaki sposób zrobiony był ten figielek.

W następny czwartek znowu udałem się na ulicę Richmond. Sądę, że byłem jednym ze stałych gości Podróżnika w Czasie. Przybywszy dosyć późno, zastałem już cztery czy pięć osób zgromadzonych w salonie. Lekarz stał przed kominkiem trzymając w jednej ręce jakiś papier, w drugiej zegarek. Obejrzałem się dokoła szukając Podróżnika.

– Jest wpół do ósmej – powiedział Lekarz. – Sądę, że możemy już zasiąść do obiadu.

– A gdzie on? – zapytałem o gospodarza.

– Ach, pan dopiero teraz przyszedł? Dziwna rzecz, doprawdy... Coś go nieoczekiwanie zatrzymało. W tej oto kartce prosi mnie, aby zasiąść do obiadu o siódmej, jeżeli nie wróci. Mówi, że wytłumaczy wszystko po powrocie.

– W istocie, nie warto sobie psuć obiadu – rzekł Redaktor znanego dziennika, toteż Doktor pociągnął za dzwonek.

Oprócz Psychologa, Doktora i mnie nikt z obecnych nie uczestniczył w poprzednim obiedzie. Z nowych gości był Blank, wyżej wspomniany Redaktor, pewien Dziennikarz i jeszcze jeden gość, jakiś spokojny, nieśmiały, nie znany mi brodac, który, o ile mi się zdaje, ani razu nie otworzył ust w ciągu wieczora. Przy obiedzie czyniono różne przypuszczenia co do nieobecności gospodarza, ja zaś pół żartem podsunąłem myśl podróży po Krainie Czasu. Redaktor poprosił o wyjaśnienia. Psycholog zaczął bezbarwnie opowiadać o „dowcipnym paradoksie i sztuczce”, której byliśmy świadkami przed tygodniem. Był już w środku opowieści, gdy drzwi korytarza otworzyły się z wolna, bez skrzypnięcia. Siedziałem na wprost i pierwszy zauważyłem, że ktoś wchodzi.

– Ach – zawołałem – nareszcie!

Drzwi otworzyły się szerzej i Podróżnik w Czasie stanął przed nami. Wydałem okrzyk zdumienia.

– Na miłość boską! Człowiecze, co się z tobą stało? – krzyknął Lekarz, który go z kolei zobaczył. A reszta siedzących przy stole także zwróciła się ku drzwiom.

Podróżnik w Czasie przedstawiał widok niezwykły. Surdut jego był zakurzony, brudny, wzdłuż rękawów powalany czymś zielonym; włosy w nieładzie wydawały się przyprószone siwizną – nie

wiadomo, czy od pyłu, czy też wskutek rzeczywistej zmiany koloru. Błady był jak widmo; na podbródku miał ciemną szramę, na wół zabliznioną, wyraz twarzy błędny i jakby zmęczony długotrwałym cierpieniem. Zawahał się na progu, zdaje się, oślepiony światłem, po czym wszedł do środka kulejąc, najwidoczniej z powodu okaleczonych nóg. W milczeniu spoglądaliśmy nań czekając, co powie.

Nie wyrzekł ani słowa, zbliżył się jedynie z trudnością do stołu i wskazał na wino. Redaktor napełnił kieliszek szampanem i przysunął mu go. Podróżnik wychylił i widocznie zrobiło mu to dobrze, bo rozejrzał się dokoła stołu, a na twarzy zajaśniał mu cień dawniejszego jego uśmiechu.

– Gdzieżeś był, na Boga, człowiecze? – zapytał Doktor. Zdawało się, że Podróżnik w Czasie nie słyszał tych słów.

– Nie przeszkadzajcie sobie – rzekł niepewnym głosem. – Nic mi nie jest.

Zatrzymał się, znowu podsunął kieliszek i znowu wychylił go duszkiem.

– Teraz już dobrze – powiedział. Oczy mu zaświeciły silniej, a lekki rumieniec ukazał się na policzkach.

Wzrok jego ślizgał się po nas z wyrazem niewytłumaczonego zadowolenia, a następnie powędrował po ciepłym i wykwinłym pokoju.

– Pójdę – przemówił znowu, jakby ciągle dobierając słowa – ...umyc się i ubrać... Wrócę i opowiem wam... Zostawcie dla mnie kawałek tej baraniny... Dosłownie umieram z głodu.

Spostrzegłszy nagle Redaktora, który był rzadkim gościem, uprzejmie go przywitał. Redaktor chciał go o coś zapytać.

– Odpowiem za chwilę – rzekł Podróżnik. – Czuję się nieco... śmieszny! Będę gotów za minutę.

Postawił kieliszek i skierował się ku drzwiom. Znowu zauważyłem, że utyka i powłóczy nogami po podłodze. Uniósłszy się trochę z miejsca przyjrzałem się jego nogom, gdy wychodził. Okrywały je jedynie podarte i pokrwawione skarpetki. Wreszcie drzwi zamknęły się za wychodzącym.

Z początku chciałem iść za nim, ale przypomniałem sobie, jak nie lubi, żeby się nim zajmować. Przez chwilę mój umysł pracował nad zagadką. Później usłyszałem, jak Redaktor powiedział:

– Dziwne Zachowanie Się Znakomitego Uczzonego! – według zwyczaju swego bowiem myślał nagłówkami artykułów.

Słowa te ściągnęły na powrót moją uwagę na oświetlony stół.

– Co to znaczy? – rzekł Dziennikarz. – Czyżby on z amatorstwa zajmował się włóczegostwem? Nic nie rozumiem. – Wzrok mój spotkał się z oczyma Psychologa i wyczytałem w nich własne tłumaczenie zagadki. Pomyślałem o tym, z jaką trudnością nasz Podróżnik musi się gramolić na schody. Nie sądzę, żeby ktoś więcej jeszcze oprócz mnie zauważył, że kuleje.

Pierwszym, który ochłonął ze zdziwienia, był Lekarz. Zadzwoił, by przyniesiono dodatkowe nakrycie, gdyż Podróżnik nie lubił, aby podczas obiadu służba znajdowała się w pokoju.

W tej chwili Redaktor z namaszczeniem powrócił do jedzenia, a za jego przykładem poszedł i Milczący Gość. Obiad się kończył. Przez chwilę rozmowa składała się z wykrzykników i małych przerw niemego podziwu, a Redaktor usychał z ciekawości:

– Czy nasz przyjaciel nie zwiększa czasem swych dochodów zamiataniem ulic? – pytał zaciekawiony. – A może ulega napadom jak Nabuchodonozor?

– Jestem pewny, że to sprawa wehikułu czasu – rzekłem i podjąłem opowiadanie Psychologa od miejsca, w którym był je przerwał.

Nowi goście wyrażali jawne niedowierzanie. Redaktor wystąpił z zarzutami.

– Czymże właściwie jest owo podróżowanie w czasie? – mówił.

– Czy człowiek może tak się zakurzyć, zanurzywszy się w paradoksie? Czyż to możliwe? – Następnie, jakby oswojony z ową ideą, zapytał: – Czy w przyszłości nie ma szczotek do czyszczenia ubrania?

Dziennikarz również nie chciał wierzyć za żadną cenę i przyłączył się do Redaktora w łatwym zresztą zadaniu ośmieszenia całej sprawy. Obaj byli dziennikarzami w nowym stylu: ludźmi młodymi, bardzo wesołymi i nie uznającymi autorytetów.

– Nasz specjalny korespondent, którego wysłaliśmy w przyszły tydzień, donosi... – powiedział Dziennikarz, a raczej wykrzyknął z humorem, gdy Podróżnik już powracał do jadalni.

I wszedł on istotnie. Był ubrany w zwykły wieczorowy garnitur i nic prócz błędnego wzroku nie przypominało zmiany, która mnie od razu tak w nim uderzyła.

– Powiedz, czy to prawda – rzekł Redaktor wesoło – co mówią o tobie, iż podróżowałeś w środek przyszłego tygodnia? Jeżeli łaska, opowiedz nam wszystko o najbliższych zamierzeniach rządu. Jakie chcesz honorarium?

Podróżnik w Czasie zasiadł na swoim miejscu nie mówiąc ani słowa. Podług dawnego zwyczaju uśmiechał się spokojnie.

– Gdzie moja baranina? – zapytał. – Jaka to przyjemność zagłębić widelec w mięsie!

– Mów! – krzyknął Redaktor.

– Pal diabli gadanie! – rzekł Podróżnik. – Muszę coś zjeść. Ani słowa nie powiem, dopóki do mych tętnic nie dostanie się trochę peptonu. Dziękuję. A teraz, soli.

– Słówko – rzekłem. – Czy podróżowałeś w czasie?

– Tak – odpowiedział Podróżnik, mając usta pełne pieczeni, i skinął przy tym głową.

– Dam szylinga za wiersz opowiadania – rzekł Redaktor.

Podróżnik w Czasie posunął swój kieliszek w stronę Milczącego Gościa i trącił go końcem palca; w odpowiedzi na to Milczący Gość, ciągle wpatrzony w jego twarz, poruszył się gwałtownie i nalał mu wina. Reszta obiadu przeszła wśród ogólnego milczenia.

Co do mnie, wiele pytań zawisło mi na ustach i muszę powiedzieć, że to samo było i z innymi. Dziennikarz usiłował przerwać ogólne skrzępowanie opowiadając zabawne anegdoty.

Podróżnik całą uwagę skupił na obiedzie i okazywał apetyt godny włóczęgi. Lekarz ćmił papierosa i spod brwi spoglądał na gospodarza. Milczący Gość wydawał się bardziej jeszcze niezdarny niż zazwyczaj: pił szampana w prawidłowych odstępach czasu z wynikającym ze zdenerwowania zdecydowaniem.

Wreszcie Podróżnik odsunął talerz i rozejrzał się wkoło.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Niemal umierałem z głodu. Przeżyłem bardzo dziwne chwile. – Wyciągnął rękę po cygaro, obciął je i zapalił.

– Przejdźmy jednak do palarni. Zbyt to długa historia, aby ją opowiadać wśród nakryć jadalni. Nacisnąwszy po drodze dzwonek, poprowadził nas do sąsiedniego pokoju.

– Czy mówiłeś o maszynie Blankowi, Dashowi i Josemu? – spytał mnie sadowiąc się w bujaku.

– Ależ cała ta sprawa to przecież żart! – zawołał Redaktor.

– Nie będę się dziś wdawał w dowodzenia. Nie mam zamiaru prawić wam bajek, lecz nie mogę też i wytaczać dowodów. Pragnę tylko – ciągnął dalej – opowiedzieć wam, co mi się wydarzyło, jeżeli zechcecie posłuchać, lecz nie przerywajcie mi. Muszę wam to opowiedzieć. Wiem, że źle na tym wyjdę: większa część tego, co powiem, wyda się wam kłamstwem. Ale niech i tak będzie! Jest to przecież prawda, każde słowo, wszystko co do słowa.

– Byłem w laboratorium jeszcze o czwartej, a od tego czasu... przeżyłem osiem dni takich... takich, jakich dotąd nie przeżyła żadna istota ludzka! Jestem diabelnie znużony, lecz na pewno nie zasnę, dopóki nie opowiem wam wszystkiego. Wtedy dopiero pójdę do łóżka. Ale nie przerywajcie! – zgoda?

– Zgoda – rzekł Redaktor, a pozostali powtórzyli chórem: – Zgoda!

Wówczas Podróżnik w Czasie zaczął opowiadać swe przygody. Z początku siedział w fotelu i mówił jak człowiek zmęczony; potem się ożywił. Spisując tę oto historię czuję, że zbyt marne jest pióro i atrament i zbyt wielka ma nieudolność, bym mógł opowieść jego oddać w całej pełni. Przypuszczam jednak, że przeczytacie z uwagą; szkoda tylko, iż nie możecie widzieć bladej, szczerej

twarży mówcy w jasnym świetle małej lampy i nie możecie słyszeć jego głosu. Nie będziecie też mieli pojęcia o wyrazie jego twarzy odbijającej koleje przygód. Większość słuchaczy pogrążona była w cieniu, bo nie zapalono świec, i tylko twarz Dziennikarza i nogi Milczącego Gościa od kolan do stóp znajdowały się w oświetleniu. Z początku spoglądaliśmy na siebie. Po pewnym czasie przestaliśmy patrzeć jeden na drugiego i wpatrywaliśmy się już tylko w twarz Podróżnika przybyłego z Krainy Czasu.

Rozdział III

W ubiegły czwartek mówiłem niektórym z was o zasadzie, na jakiej zbudowałem wehikuł czasu. Pokazałem w swej pracowni maszynę, jeszcze wówczas nie wykończoną. Stoi ona tam na powrót, trochę zniszczona w podróży. Jeden z prętów z kości słoniowej pękł, jeden drążek brązowy się wygiął, lecz pozostałe części są w dość dobrym stanie. Spodziewałem się, że skończę ją w piątek, lecz tego właśnie dnia, gdym już prawie kończył śniadanie, spostrzegłem, że jeden pręt nikłowy jest o cal za krótki, i musiałem to naprawić. Machina była więc gotowa dopiero dziś rano. Dopiero więc dzisiaj o dziesiątej pierwszy wehikuł czasu rozpoczął swą czynność. Obejrzałem go po raz ostatni, jeszcze raz sprawdziłem wszystkie śruby, wpuściłem jedną kroplę więcej oliwy na kwarcowy czop i zasiadłem na siodełku. Przypuszczam, że samobójca, który przykładając pistolet do czaszki, doznaje takiego uczucia, jakiego ja doznawałem wówczas wyruszając w podróż po Krainie Czasu. Jedną ręką ująłem dźwignię wprawiającą przyrząd w ruch, drugą ręką zaś hamulec. Nacisnąłem pierwszą dźwignię i niemal natychmiast – hamulec. W tejże chwili doznałem takiego wrażenia, jak gdybym się wywracał; uczucie padania dręczyło mnie niby zmora nocna. Rozejrzałem się dokoła; zobaczyłem tę samą co przedtem pracownię. Cóż więc się stało? Przez chwilę podejrzewałem, że ludzka mnie własne zmysły. Później spojrzałem na zegarek. Przed chwilą była może minuta po dziesiątej; teraz już prawie po wpół do czwartej!

Odetchnąłem, zacisnąłem zęby, ująłem oburącz dźwignię ruchową i szybko ruszyłem. Laboratorium ogarniał coraz głębszy mrok. Pani Watchett, widocznie nie spostrzegłszy mnie, przeszła przez pokój ku drzwiom ogrodu. Przypuszczam, że potrzebowała około minuty na przebycie tej przestrzeni, lecz mnie wydawało się, że przeleciała przez pokój jak rakieta. Przesunąłem dźwignię do ostatniej podziałki: zapadła noc, jakby ktoś zgasił lampę. Upłynęła chwila, a po nocy znowu nagle zaczął się dzień. Mrok stopniowo wypełniał pracownię. I przemknęła następna czarna noc, później znowu dzień, znowu noc i dzień, i tak dalej, w coraz to mniejszych odstępach czasu. Uszy moje napełniły się szmerem jakiegoś wiru, a na umysł spadła dziwna, ciężka pomroka. Nie wiem, czy zdołałem wyrazić należycie szczególne wrażenia z podróży w czasie, wrażenia bardzo nieprzyjemne. Czułem się jak człowiek wyrzucony z procy i spadający głową w dół. Gdym przyspieszył bieg, noc następowała za dniem niczym ruchy czarnego skrzydła. Niewyraźny, mroczny obraz laboratorium niknął mi z oczu i na powrót widziałem słońce, które biegło szybko po sklepieniu niebios, przeskakiwało je w ciągu minuty, a każda minuta oznaczała dzień. Zdawało mi się, że laboratorium gdzieś już przepadło, a ja dostałem się na otwartą przestrzeń. Odnosiłem wrażenie, że wznoszę się po stopniach w górę, ale poruszałem się zbyt szybko, bym mógł zdać sobie sprawę z jakiegokolwiek ruchu wokół mnie. Najpowolniejszy ślimak, jaki pełzał kiedykolwiek, dla mnie przebiegał jeszcze zbyt szybko. Zmieniające się kolejno ciemności i światła były niezmiernie uciążliwe dla oczu. W chwilach ciemności widziałem księżyc mknący szybko od pierwszej kwadry do pełni i spostrzegałem słabe migotanie gwiazd krążących po niebie. Teraz, przy ciągle wzrastającej szybkości, drgania nocy i dnia zlały się w jednostajną szarość; sklepienie nieba miało kolor błękitu o cudnej głębokości, oświetlonego wspaniałe poranną jakby zorzą. Żarzące się słońce wyglądało jak ognista smuga, jeden łuk świetlany w przestrzeni, a księżyc zmienił się we wstęgę falującego światła. Nie widziałem już gwiazd; widziałem tylko tu i ówdzie wirujące jasne koła na błękicie.

Krajobraz był mglisty i niejasny. Znajdowałem się ciągle jeszcze na stoku wzgórza, na którym stoi obecnie nasz dom; przede mną wznosił się szary, ciemny szczyt. Widziałem drzewa wyrastające i znikające jak opary, to zielone, to szare; rosły, puszczały konary i rozpadały się. Widziałem wyrastające olbrzymie budowle, piękne, lecz jakby za mgłą i znikające jak we śnie. Zdawało mi się, że cała powierzchnia ziemi zmienia się, topnieje i zlewa w mych oczach. Małe wskazówki na tarczach zegarowych, które pokazywały szybkość lotu, krążyły coraz szybciej i szybciej. Zauważyłem teraz, że słoneczna wstęga przesuwana się ciągle to w górę, to w dół, od jednego punktu przesilenia do drugiego

w ciągu kilkudziesięciu sekund, jeszcze prędzej, coraz prędzej, że zatem więcej niż rok przebiegam w jednej minucie. Co minuta biały śnieg zasypywał świat i znowu znikał ustępując miejsca jasnej i tak samo szybko przemijającej zieloności wiosny.

Nieprzyjemne wrażenie towarzyszące początkowi podróży mniej dawało się we znaki i w końcu ustąpiło miejsca historycznemu podnieceniu. Spostrzegłem, iż machina chwieje się niezgrabnie, ale przyczyny tego nie umiałem sobie wytłumaczyć. Umysł mój był zanadto wstrząśnięty, aby się skupić, rzuciłem się więc w przyszłość jakby ogarnięty szałem. Z początku nie przyszło mi na myśl zatrzymać się, nie myślałem zgoła o niczym, doznawałem tylko ciągle nowych wrażeń. Nieoczekiwanie jednak zbudziły się we mnie nowe uczucia, pewna ciekawość, a następnie strach, które wreszcie ośwładnęły mną zupełnie.

Co za dziwny rozwój ludzkości! Jakież niesłychany postęp w naszej, ledwie zapoczątkowanej, cywilizacji może się z czasem dokonać – myślałem wpatrując się bliżej w ten ciemny, mknący świat, który sunął i falował przed moimi oczyma. Widziałem, jak wyrasta dokoła mnie ogromna i wspaniała architektura, dająca nieskończenie wyższe wrażenie potęgi niż wszystkie budowle naszych czasów, a jednak na pozór budowane z blasku tylko i mgły. Widziałem, jak na pochyłości wzgórza rozkrzewia się o wiele bogatsza zieloność, nic z bujności swej nie tracąc w zimowej porze. Ziemia wydawała mi się piękniejsza nawet poprzez tę jakby mgłę oszołomienia. Zapragnąłem wreszcie zatrzymać się.

Szczególnym niebezpieczeństwem grozić mogło to, że w przestrzeni zajmowanej przeze mnie lub przez machinę mogła się znaleźć jakaś materialna substancja. Dopóki podróżowałem w czasie z wielką szybkością, nie miało to znaczenia; byłem, że się tak wyrażę, bezcielesny, przeciskałem się jak para przez odległości dzielące cząsteczki materii. Lecz przy zatrzymaniu się groziło mi niebezpieczeństwo uwięzienia w przestworzu, pochwycenia każdej mojej drobiny przez materię spotykaną na mej drodze; moje atomy mogłyby wejść w tak bliski kontakt z atomami przeszkody, iż w rezultacie dokonałaby się głęboka przemiana chemiczna – być może nawet daleko sięgający wybuch, który by i mnie, i mój aparat wyrzucił przez wszystkie możliwe wymiary, aż do dziedziny tego, co nazywamy Nieznany. Możliwość czegoś podobnego ustawicznie przychodziła mi na myśl, gdy budowałem machinę; lecz wówczas przyjmowałem to pogodnie jako nie dające się pominąć ryzyko – jedno z tych, na jakie człowiek zawsze musi się odważyć. Teraz, gdy niebezpieczeństwo było rzeczą nieuniknioną, nie widziałem go w tak różowym świetle. W istocie, szczególnie dziwne położenie, w jakim się znalazłem, dręczące brzęczenie i podskakiwanie maszyny, a nade wszystko uczucie długiego spadania w przestrzeń wyczerpało zupełnie moje nerwy. Powiedziałem sobie, że nigdy już chyba nie będę mógł się zatrzymać, i w nagłym porywie złości postanowiłem zatrzymać się natychmiast. Jak niecierpliwy obląkaniec szarpnąłem gwałtownie hamulec; w jednej chwili machina zatrzęsała się, a ja poleciałem w przestwór głową naprzód.

W moich uszach rozległ się huk piorunu. Byłem przez chwilę ogłuszony. Dokoła mnie szumiał bez litości grad, ja zaś siedziałem na miękkiej trawie przed wywróconą machiną. Wszystko wydawało mi się szare, lecz zauważyłem już, że ustał szum w moich uszach. Rozejrzałem się. Byłem, jak się zdaje, w ogrodzie, na małym trawniku otoczonym krzewami rododendronów, i zauważyłem, że ich fioletowe i pąsowe kwiaty sypały się jak deszcz pod ciosami gradu. Spadający i odskakujący grad otaczał machinę jakby mgłą, a nad ziemią rozpościerał się niczym dym. W jednej chwili przemokłem do nitki.

– Piękna gościnność – zawołałem – okazana człowiekowi, który podróżował niezliczone lata, żeby tu się dostać!

Wówczas zdałem sobie sprawę, jakim szaleństwem było wystawienie siebie na zmoknięcie. Stałem i rozglądałem się dokoła. Poprzez ciemny strumień wody majaczył niewyraźnie olbrzymi jakiś kształt na tle rododendronów; była to postać wykuta z białego kamienia. Nic innego zresztą na świetle całym nie widziałem. Wrażenia trudno mi opisać. Gdy smugi gradu ścieniały, zobaczyłem wyraźniej ową białą figurę. Była ogromnej wielkości, bo do jej ramion sięgały górne gałęzie srebrnej brzozy. Marmurowy posąg miał kształt jakby skrzydlatego sfinksa; skrzydła jednak nie były osadzone

pionowo po bokach, lecz rozpostarte do lotu. Piedestał, jak mi się zdawało, z brązu, pokrywała gruba warstwa śniegi. Oblicze zwrócone było ku mnie, niewidzące oczy zdawały się mnie bacznie śledzić, a na ustach igrał lekki uśmiech. Twarz silnie zmieniona przez wpływy atmosferyczne miała nieprzyjemny, chorobliwy wygląd. Stałem tak patrząc na olbrzyma czas pewien – pół minuty, a może pół godziny. Doznawałem złudzenia, jakby olbrzym przesunął się i odsunął, zależnie od tego, czy padał gęstszy, czy rzadszy grad. W końcu oderwałem na chwilę od niego oczy i zauważyłem, że zasłona gradowa nabiera przejrzystości, niebo się rozjaśnia, a słońce zaczyna się przebijać przez chmury. Znowu spojrzałem na kurczący się biały kształt i nagle stanęło przede mną jasno okropne zuchwalstwo mojej podróży.

„Co będzie – myślałem – co ujrzę, gdy mglista zasłona zniknie już zupełnie? Czego już ludzie nie przeżyli? Co będzie, jeżeli okrucieństwo stało się powszechną namiętnością? Co będzie, jeżeli w ciągu tego czasu rasa zatraciła swe człowieczeństwo i wyrodziła się w coś nieludzkiego, wyzutego z uczuć, a niebywale potężnego? Może ujrzę dzikie zwierzę z dawnego świata, tylko jeszcze straszniejsze i budzące odrazę przez swe podobieństwo do człowieka, wstrętnego stwora, którego należałoby zabić bez wahania?”

Rozróżniałem już teraz inne wielkie kształty, olbrzymie budynki z krętymi balkonami i smukłymi kolumnami; obok nich porośnięte lasem zbocza wysuwały się, jakby pełzły ku mnie. Burza ustawała.

Ogarnął mnie paniczny strach. W szale skoczyłem do wehikułu czasu i starałem się szybko doprowadzić go do porządku. Podczas tej czynności promienie słońca przedarły się przez nawałnicę. Szara zasłona z deszczu rozwiała się jak powłóczysta szata ducha. Nade mną, na ciemnym błękitie letniego nieba, niewielkie resztki białych chmur kłębiły się znikając powoli. Wokoło stały jasno i wyraźnie olbrzymie budynki błyszczące od wody deszczowej, upstrzone białymi ziarnami tu i ówdzie leżącego kupkami gradu, który jeszcze nie zdołał stopnieć. Czułem się bezbronny pośród tego dziwnego świata. Czułem niejako to, co może odczuwać ptak w czystym przestworzu, który wie, że nad nim krąży sokół i ma się nań rzucić. Lęk mój przemieniał się w szal. Wstrzymałem oddech, zacisnąłem zęby i znowu pięścią i kolanami nacisnąłem dźwignię. Podała się rozpaczliwemu wysiłkowi i obróciła, uderzając mnie silnie w podbródek. Stałem cały drżący, z jedną ręką na siodle a drugą na kierownicy, gotów wzbić się na nowo.

Wraz z możliwością szybkiego odwrotu wróciła mi także odwaga. Patrzyłem teraz z większą ciekawością, a mniejszą trwogą na ów świat dalekiej przyszłości. W okrągłym otworze umieszczonym wysoko w murze najbliższego domu ujrzałem grupę osób ubranych w kosztowne, jedwabiste szaty. Zobaczywszy mnie, zwróciły ku mnie swe twarze.

Wtedy usłyszałem zbliżające się głosy. W zaroślach około białego sfinksa ukazały się ramiona i głowy biegnących ludzi, a jeden z nich pojawił się na ścieżce wiodącej prosto na trawnik, gdzie stałem wraz z machiną. Był mały, wąty, na cztery może stopy wysoki, odziany w pąsową tunikę, przepasaną skórzanym pasem. Na nogach miał sandały czy trzewiki – nie mogłem dobrze rozpoznać, łydki obnażone aż do kolan i szedł z gołą głową. Dostrzegłszy to zauważyłem też po raz pierwszy, jak bardzo ciepłe jest powietrze.

Zaskoczony byłem urodą i wdziękiem zbliżającej się istoty, jak i niezwykle wątym jej wyglądem. Rumiana twarz przywodziła na myśl urodę gruzlików – ową piękność wynikającą z gorączki i wyczerpania, o której tak wiele się słyszy. Na widok nadchodzącej istoty nagle odzyskałem ufność. Odjąłem ręce od maszyny.

Rozdział IV

Po chwili staliśmy naprzeciw siebie: ja i wąta istota przyszłości. On podszedł prosto do mnie i roześmiał mi się w twarz – zdumiał mnie w nim brak wszelkich oznak lęku – następnie zwróciwszy się do dwóch towarzyszy, którzy szli za nim, przemówił do nich dziwnym językiem, bardzo miłym i płynnym.

Podeszło ich więcej i w końcu zebrała się koło mnie niewielka grupa złożona z ośmiu czy dziesięciu pięknych istot. Jeden z przybyłych zaczął coś do mnie mówić. Mnie zaś przyszła do głowy dziwaczna myśl, że głos mój wydać się im może zbyt twardy i gruby. Potrząsnąłem więc głową i pokazując na uszy potrząsnąłem nią po raz drugi. On tymczasem zrobił krok naprzód, zawahał się, wreszcie dotknął mej ręki. Niebawem uczułem inne lekkie dotknięcia na karku i ramionach. Chcieli upewnić się, że jestem człowiekiem. W tym wszystkim nie było niczego, co mogłoby budzić obawę. Drobną i piękny lud miał w sobie coś budzącego zaufanie: szlachetność pełną wdzięku i dziecinną swobodę. Zresztą wyglądali tak delikatnie, że wydało mi się, iż mógłbym od jednego zamachu cały tuzin ich powalić jak kręgle. Zrobiłem jednak nagły ruch dla ostrzeżenia ich, gdym spostrzegł, że drobne ręce zebranych dotykają wehikułu czasu. Na szczęście w porę przypomniałem sobie o niebezpieczeństwie, o którym nie pomyślałem dotychczas: zbliżywszy się do maszyny odśrubowałem małe dźwignie, co ją wprawiały w ruch, i schowałem je do kieszeni. I ponownie zwróciłem się do owych mieszkańców nowego świata, by spróbować porozumieć się z nimi.

Przyglądając się bliżej ich rysom dostrzegłem dalsze jeszcze szczegóły składające się na typ piękności przypominający figurki z saskiej porcelany. Ich kędzierzawe włosy kończyły się nagle nad uszami i karkiem; najmniejszego śladu zarostu nie było na twarzy, uszy zaś mieli prawdziwie maleńkie. Usta także małe, ciemnoczerwone, z wąskimi raczej wargami; małe podbródki kończyły się ostro. Oczy zaś mieli duże i łagodne. Zdawało mi się – ale może to jest tylko pewien egoizm z mej strony – że nie dostrzegłem w nich takiego zaciekawienia, jakiego mogłem przecież oczekiwać.

Widząc, że nie pragną wcale porozumieć się ze mną, lecz tylko stoją dookoła uśmiechając się i mówiąc do siebie miękko, gruchającymi dźwiękami, sam rozpocząłem rozmowę. Wskazałem na wehikuł czasu i na siebie. Następnie, po pewnym wahaniu, jak wyrazić czas, podniosłem rękę ku słońcu. W tej chwili dość piękna mała figurka, ubrana w pąsowo-białą szatę, bacznie śledząc ruchy, które wykonywałem, zadziwiła mnie naśladując huk piorunu.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.